

# Anna Figa

---

## Doskonała w polszczyźnie rozróżba

---

Rocznik Instytutu Polsko-Rosyjskiego nr 2, 190-195

---

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Anna Figa**

**Doskonała w polszczyźnie rozróżba**

*Wszystko zależy od przyimka. Jerzy Bralczyk, Jan Miodek, Andrzej Markowski w rozmowie z Jerzym Sosnowskim, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2014*

Książka zawierająca rozmowy kilku uznanych językoznawców (prawdziwych autorytetów w zakresie polszczyzny) i w całości poświęcona tematyce rozmaitych zagadnień naszego rodzimego języka, pozornie wydaje się idealną propozycją jedynie dla innych badaczy polszczyzny, dla zapalonych studentów polonistyki, ewentualnie nauczycieli-entuzjastów. Nic bardziej mylnego! Opublikowana przez Wydawnictwo Agora książka *Wszystko zależy od przyimka*, to nie tylko poważna naukowa dyskusja (dyskretnie moderowana przez redaktora Jerzego Sosnowskiego) toczona przez profesorów Jerzego Bralczyka, Andrzeja Markowskiego i Jana Miodka. Tak wybitne grono uczonych mogłoby oczywiście z łatwością i naturalnością prowadzić swobodną rozmowę językiem rozumianym tylko przez tę część społeczeństwa, która egzamin z gramatyki opisowej języka polskiego zdała co najmniej na ocenę dobrą. Co więcej, zaproponowanym w omawianej książce tematom nie brakuje niczego w zakresie naukowej wagi czy społecznej rangi – porusza się tu wszak kwestie języka mediów i reklamy, oddziaływania na polszczyznę wyrażen gwarowych czy zapożyczeń, wpływu jaki mają na nią wulgaryzmy bądź młodzieżowy slang – jednak i w tej materii próżno szukać nadętych fraz i niezrozumiałego dla językoznawczego laika sposobu formułowania myśli.

Nie powinno to jednak dziwić. Rozmawiają w tej książce przecież nie tylko uznane autorytety, szacowni profesorowie, członkowie Rady Języka Polskiego (w tym jej przewodniczący i wiceprzewodniczący), ale przede wszystkim specjaliści od polszczyzny. Jej znakomici teoretycy, lecz przede wszystkim – czego czytelnik doświadcza w sposób dobitny – nie mniej znakomici jej smakosze, koneserzy, niezwykle świadomi użytkownicy języka polskiego, którzy wiedzą, jak w pełni korzystać z bogactwa polszczyzny, jak

z wycuciem i niewymuszoną naturalnością penetrować rozmaite jej meandry, zaułki, załamania i szczeliny. Jak – wciąż pozostając wiernym poprawnej wymowie – ubierać polszczyznę w zabawę, jak z nią igrać i jednocześnie obdarzać ją wielkim szacunkiem. Profesorowie Bralczyk, Markowski i Miodek zdają sobie sprawę, jak okiełznać „wieczną w polszczyźnie rozróbę”<sup>47</sup>, czyniąc ją (polszczyznę, nie rozróbę) – wskutek namysłu, słusznego zastanowienia i świadomości językowej – niemniej żywiołową, czarującą, po prostu piękną. w jednej z rozmów profesor Jerzy Bralczyk wypowiada niezwykle znamienne zdanie:

Nie jestem pewien, czy w ogóle należy uczyć poprawności. Trzeba raczej uczyć świadomości języka. Bo jeżeli ja znam formy poprawne i niepoprawne, to nie jestem zobligowany do używania tych poprawnych. Tak jak mówił Gombrowicz: jeżeli wiem, że nie można dłużyć w nosie, to już mogę dłużyć. (s. 231)

Wydaje się, że to jest właśnie samo sedno owej *polszczyźnianej* rozróby, rozróby podniesionej do właściwych granic, bowiem – by posłużyć się słowami profesora Jana Miodka z innego miejsca omawianej książki – „Miałem takich znajomych, którzy nie potrafili być potoczni w języku. Moim zdaniem to jest bardzo wielka tragedia stylistyczna” (s. 150). Wypowiedziom uczonych zebranych w tym tomie owa tragedia nie grozi, są od niej jak najdalsze. Tym większa więc jest przyjemność lektury, obcowania ze słowem pozbawionym tego, co prof. Bralczyk nazywa poczuciem „krygowania się, pretensjonalności, sztucznego, fałszywego używania języka” (s. 150). Wczytując się w te fascynujące – nie tylko dla polonisty – rozmowy o języku, warto wsłuchiwać się więc w sam język, wyobrażać sobie jego brzmienie, melodię, ton – te wszystkie szmery, szepty, rozciągnięcia i ściągnięcia, które akustycznie dostrajają przekazywaną treść.

Książka *Wszystko zależy od przecinka* dzieli się na trzynaście rozdziałów, z których każdy stanowi odrębną rozmowę poświęconą innemu – nie mniej istotnemu – zjawisku typowemu dla

---

<sup>47</sup> Niezapomniana fraza użyta przez Mariana Pankowskiego, która stała się również tytułem książkowego wydania wywiadu-rzeki z pisarzem (P. Marecki, *Nam wieczna w polszczyźnie rozróbka*. Marian Pankowski mówi, Kraków 2011).

współczesnej polszczyzny. Wstęp, który poprzedza właściwe dyskusje, jest nie tylko wprowadzeniem, przybliżającym czytelnikowi sylwetki rozmówców (skądinąd świetnie znanych większości Polaków), ale i wprowadzeniem uświadamiającym odbiorcy charakter prezentowanej książki. Polszczyznę traktuje się tu z największym uznaniem, co nie przeszkadza robić z niej użytek, bawić się rozmaitymi jej stylami i niekończącymi się możliwościami. Jerzy Sosnowski słusznie zauważa, że „nie tylko ja mówię językiem, ale sam język mówi do mnie” (s. 8). Uzmysłowanie sobie tego zjawiska, dojrzenie pełni bogactwa języka, który zmienia wektor, by przemawiać do nas poprzez swoje niuanse, wieloznaczności, słabości i niepewności, daje nam (o czym zapewnia prof. Jerzy Bralczyk) wiele przyjemności.

Książkę otwiera rozdział zatytułowany *Etykieta i netykieta z przecinkiem w tle* i poświęcony sposobom mówienia/pisania charakterystycznym dla polszczyzny doby Internetu. To znamienne rozpoczęcie, pokazuje bowiem dynamikę przemian, jakim podlega współczesny język polski. Myśląc o budowie językoznawczej książki czy nawet cyklu popularyzatorskich wywiadów bądź programów poświęconych polszczyźnie, tematykę przemian języka dyktowanych czy uwypuklanych przez sieć zwykliśmy raczej marginalizować, spychać w otchłanie ostatnich rozdziałów, ostatnich zdań. Tutaj problem ten został niemalże wyróżniony, to właśnie język sieci, język typowy dla Internetu i kształtowany przez normy dyktowane wirtualną rzeczywistością otwiera dyskusję o najnowszej polszczyźnie, jej dynamice i przemianach. Polszczyzna spod znaku sieci nie bez przyczyny obudowana została jednak dwoma sformułowaniami: *etykieta* oraz *netykieta*. Sposoby ujarzmiania języka w wirtualnej przestrzeni, które wprowadza drugi z użytych terminów, biorą swe źródła w pierwszym. Dlatego w rozmowie poruszono kwestie nie tylko sposobów na rozpoczynanie korespondencji elektronicznej (*casus* „witania” poruszony jakiś czas temu przez Michała Rusinka), ale i językowej etykiety wykraczającej poza sieć. To również ważne rozpoznanie i wyraźnie brzmiąca uwaga: dyskusję o języku warto rozpocząć od etykiety, gdyż – jak zapewnia prof. Miodek – „»koło« [w znaczeniu *kolo-kwium* – przyp. AF] jest całkiem w porządku, ale we właściwym kontekście” (s. 17).

Nie mniej ciekawe są tematy innych rozmów, toczonej – jak wspomniałam wyżej – zawsze polszczyzną nienaganną, ale przy tym swobodną, lekką i nieraz zabawną (żarty i gry słowne u tak znakomitych językoznawców to prawdziwy *crème de la crème* tych dyskusji). Warto zwrócić szczególną uwagę choćby na rozdział poświęcony odmianie nazwisk (*Ja się deklinuję!*) czy rozmowę zatytułowaną tajemniczo *Dżender ministy* i dotyczącą żeńskich oraz męskich form nazw zawodów. Ten temat, związany z niekończącymi się sporami pomiędzy kobietami preferującymi tytułowanie ich „psycholożkami” czy „socjolożkami”, a tymi, które wolą być „paniami psycholog” czy „socjologami” – niezmiernie nagłaśniany przez media, atrakcyjny w prasie i telewizji – to nie jedyny przypadek, gdy na język oddziałują siły jak najdalej od językoznawczych mocy. Zawile powiązania pomiędzy językiem reklamy, językiem ulicy a językiem językoznawców odnajdziemy w rozdziale *Język w służbie reklamy*. Temat tej rozmowy wydaje się niezwykle istotny. Oddziaływanie języka używanego w reklamie na współczesną polszczyznę odczuwamy intuicyjnie, potwierdzenie przynoszą także słowa profesora Miodka, który stwierdza:

Nie bójmy się przyznać, że do rejestru skrzydlatych słów dołączyła reklama. Sam łapię się na tym, że jak ktoś mi snuje jakieś wizje, to mam mu ochotę głupkowato powiedzieć: to nie wizja, to vizir. Jeśli w domu po jakimś zamieszaniu nagle się wszystko uspokaja, mam ochotę powiedzieć: jest leżajsk, jest dobrze. (s. 91)

Przeciętny użytkownik języka polskiego po takim wyznaniu mistrza polszczyzny czuje się chyba nieco rozgrzeszony, gdy sam w rozmowie, „z pewną taką nieśmiałością”, zwykł od czasu do czasu mawiać, że „prawie robi wielką różnicę” czy wspomnieć na „świstaka zawijające go w te sreberka”.

Wielu czytelników ze sporym zainteresowaniem przeczyta zapewne rozdział poświęcony wulgaryzmom w polszczyźnie (*Dla czego nie lubimy mówić o wulgaryzmach*), które wydają się nam nieraz słowami z jednej strony najbardziej niepożądanymi, a z drugiej najbardziej ekspansywnymi. Nie mniej interesująca jest rozmowa na temat zdrobnień (część rozdziału *Ja się deklinuję!*) – przecież to właśnie deminutywa wyróżniają polszczyznę – czy inten-

syfikacji, hiperbolizacji języka, w którym dzisiaj – jak przyznaje Sosnowski – „każda książka to bestseller, byle piosenka to jest hit, byle plakat to arcydzieło” (s. 96). Słuszną uwagę w tej kwestii wypowiada także profesor Bralczyk:

Język ma gorączkę. Ze wszystkim przesadzamy. Nie można już się czymś interesować, nie można mieć zainteresowań, tylko pasję trzeba mieć. Nie możemy się czymś niepokoić, tylko od razu nas to bulwersuje. [...] i ta intensywność sprawia, że słowa się desensytyzują. Czyli słowa, które kiedyś były używane w stanach najwyższego napięcia, teraz są używane na co dzień. (s. 96)

To niezwykle znacząca uwaga (*super, ekstra, totalnie wręcz megai-stotna*, chciałoby się z przekąsem dodać), która każe nam zwrócić się w stronę własnego języka, zastanowić dwukrotnie, zanim znów posłużymy się słowami-wytrychami, zanim ponownie zaczniemy opisywać otaczającą nas rzeczywistość jako niesamowitą, porażającą, masakryczną, fatalną czy totalnie zmienioną. Rozpoznania dotyczące owego „gorączkującego języka” podane są czytelnikowi frazą lekką, swobodną, niewolną jednak od ironiczných spiętrzeń, które – wypowiedziane, wybrzmiały, potem zapisane – dobitnie ukazują niestosowność, przesadę, wręcz błazeńską śmieszność takiej zintensyfikowanej polszczyzny, do której (niestety i niesłusznie) chyba już się przyzwyczailiśmy.

Uwadze czytelnika zapoznającego się z książką *Wszystko zależy od przecinka* nie umkną też zapewne rozliczne, rozsiane po wszystkich rozmowach, drobne uwagi na temat norm poprawnościowych. Tu i ówdzie szacowni językoznawcy, nieraz zupełnie na marginesie toczonych dyskusji, zdawałoby się od niechcienia, wspominają o notorycznych potknięciach i błędach popełnianych przez rodaków. z tej przyczyny *Wszystko zależy od przecinka* powinno się czytać z należyтым skupieniem i namysłem, by wychwytywać wszystkie uwagi, porady, napomnienia, a następnie wytrwale wprowadzać poprawki do własnej polszczyzny. Czytelnicy z południa kraju na pewno zwrócą uwagę na jedną wypowiedź redaktora Sosnowskiego. Wspomina on o niepoprawnym artykułowaniu wyrazu *trzeba*, który zaczyna brzmieć – u dziewięćdziesięciu procent polskiej populacji, o czym przekonuje dziennikarz – jako *trzea*. Można

podpowiedzieć, że wśród tych dziewięćdziesięciu procent nieprawidłowo artykułujących powinno znaleźć się miejsce nie tylko dla tych, co to niechlujnie traktują zwarcie w słowie *trzeba*, ale i dla tych pominiętych w rozmowie rzeszy Małopolan, którzy zwykli mówić raczej *czeba* aniżeli *trzea*.

Warto z uwagą przeczytać całą tę książkę, poświęcając nieco namysłu stawianym w niej tezom i propozycjom. Nie należy jednak uciekać w zawrodożenie i zbyteczną lamentację nad stanem (tak, tak – właśnie *stanem*, a nie nadużywaną przez nas *kondycją*, na co zwracają uwagę językoznawcy) polszczyzny, od czego dalecy są zresztą sami dyskutanci. Fakt, że profesorów Bralczyka, Markowskiego czy Miodka kojarzymy nie tylko z publikacji naukowych, ale przede wszystkim rozpoznajemy ich głosy i twarze, bo znamy ich z radia, telewizji (w tym reklam!) czy Internetu dowodzi, że polszczyzna ma się dobrze. Udowadniają to także książki pokroju tej omawianej. Książki wydawane nie przez niszowe, uczelniane oficyny, przez naukowców i dla naukowców, ale publikowane przez popularne domy wydawnicze. Dopóki językoznawcy mają u nas status gwiazd, żadna destrukcyjna rozróżba polszczyźnie nie grozi. A z każdej innej powinniśmy się cieszyć, bo tylko potwierdza żywotność i atrakcyjność materii językowej.